

Boże Narodzenie w Janaszowie (1939)



Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być

lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanna dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanną.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony włókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęcone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postępując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skórą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

- Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty w szuby i kozuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokościom nasypu szosy, nasz pociąg pisnawszy gniewliwe raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieleatów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepla wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz trach trach. Potem zachrobotwały tory kolejowe. Światelko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo

się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łóżce z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego dryfowania, czarodziejski kraj – Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.



Dawna pocztówka

Boże Narodzenie na Śląsku i w Kanadzie



Zofia i Florian Śmieja z rodziną przy wigilijnym stole w domu w Mississaudze.

Florian Śmieja

Niewiele mi zostało wspomnień świątecznych z dawnych lat. Na Śląsku te wielkie dni zwane były godami, a bohaterem było Dzieciątko, nie żaden Mikołaj czy anieli. Ono przynosiło prezenty pod choinkę. Prócz karpia czy lina z ziemniakami i kapustą kiszoną bywała u niektórych moczka, koniecznie makówka, potrawa z bułki, maku i mleka. Tradycyjną gorzką zupę siemieniotkę, z siemienia konopnego długo gotowanego i rozgniatanego tłuczkiem, podawano z kaszą gryczaną zabielaną mlekiem. Jej gorzki smak pasował ją na iście postną potrawę i nie lubiłem jej.

W Kanadzie zasiada do wigilijnego stołu tuzin osób w tym Słoweniec, Włoszka i Ukrainka. Wnuki nie znają języka polskiego. Tym niemniej zachował się zwyczaj łamania opłatkiem przed zupą, którą jest zawsze barszcz z uszkami faszerowanymi grzybami. Te uszka są wielkim przysmakiem więc robimy je i w innych okolicznościach. Karpia zastępuje nieraz łosoś. Wśród ciast faworytem jest strudel z makiem. Po Wilii wszyscy śpiewamy kolędy polskie z dodatkiem angielskich.

Na końcu najmłodsza z gromadki gra rolę aniołka i rozdaje podarunki leżące pod choinką.

Plamy na obrusie.
Boże Narodzenie
w Krakowie
i na Florydzie.



Bożena U. Zaremba

Biały (na stół wigilijny nie może przecież być inny), lniany, z przepięknym ręcznym haftem makowskim. To jeden z ulubionych i bardziej hołubionych przeze mnie podarunków od mojej Mamy. „Będiesz miała na amerykańskim stole kawałek Polski”. Poza tym zdobyczny z czasów, kiedy takie skarby musiało się albo wystać w kolejce, albo załatwić. Zasługuje na to, żeby go co roku wypieścić – prać osobno w płynie do białych rzeczy, lekko nakrochmalić, suszyć na wieszaku, broń Boże nie w suszarce. Potem zwilżyć, zwinąć i na chwilę odłożyć. Tęsknię za instytucją magla, ale cóż, nie ma rady, trzeba prasować ręcznie, Zabiera mi

to około godziny – każdy haft powoli i dokładnie obrysowuję żelazkiem.

Plama. Niezbyt zręcznie nalewałam czerwony barszcz. Ale byłam na siebie zła! Próbowалам potem sprać szarym mydłem, traktować wywabiaczem do plam, wybielaczem (niechętnie), ale ślad został. W końcu dałam za wygraną. Czerwone plamy pojawiają się praktycznie co roku, a to z barszczu, a to z buraczków czy brusznic, które obowiązkowo podaję do kaczki w pierwszy dzień Świąt. Potem są beżowe od kompotu z suszonych śliwek, a może od makowca? Zielone od świeżych gałązek sosnowych ze stroika, jasne, tłuste od świec. Plamki, jak koraliki na sznureczku, opowiadają o tradycjach bożonarodzeniowych naszej rodziny.

Od początku Świąt spędzonych poza krajem starałam się celebrować polskie i rodzinne obrzędy jak najwierniej, choć nie zawsze jest to możliwe. W wielu miejscach, gdzie mieszkaliśmy nieosiągalny był mak albo karp, a mrożony jest przecież zupełnie bez smaku. Pamiętam, jak w Polsce stało się po karpia w kolejce – długo, często na mrozie i wietrze. Przywiozą, czy nie przywiozą? W końcu jest, ale sprzedawczyni od razu uprzedza, że dostawa nieduża. Na jakieś piętnaście osób przed nami zabrakło. „Cholera jasna!” kipi facet przed nami. „Co za banda!” oburza się ktoś inny. A mój Tato? Obrócił się na pięcie i pogodnie zaintonował: „Były rybki, nie ma rybek”. Zawsze pogodny i

optymistyczny. Mama była zdecydowanie bardziej napięta. No, bo mimo pomocy domowników, przecież tyle roboty – świąteczne porządki, zakupy i tyle gotowania i pieczenia: makowiec, cwibak, pierniczki. Na szczęście karpiem nie musiała się specjalnie przejmować, bo należał do obowiązków Taty. Jakoś zawsze go „zdobył”. Potem wpuszczał do wanny na kilka dni. Raz na jakiś czas trzeba było dolewać wody, żeby dostarczyć świeżą porcję tlenu – ryby tłoczyły się pod kranem i chciwie łapały strumień. Chowałam się, jak szły na szafot....

Brak niektórych potraw zastąpiłam innymi tradycjami, których w moim domu rodzinnym nie było. Wigilię zawsze rozpoczyna gwiazda muzyczna: jazzowa, czarowna interpretacja „Cichej nocy” w wykonaniu tria Andrzeja Jagodzińskiego. Czytanie z Ewangelii o przyjściu na świat Jezusa. Ale nie zawsze musi być powaga. Na przykład do kilku uszek, do farszu, chowam albo orzeszek, albo migdał, na szczęście. Ale radocha, jak się komuś takowy przytrafi! Potem zgadujemy, ile było wszystkich uszek. „91” mówi syn. „Mniej”, odpowiadam. „57” mówi córka. „Więcej” ... Wigilijna wieczerza zawsze jest także chwilą podsumowania całego roku. Jakie sukcesy nas spotkały? Co nas wzruszyło, zmartwiło, zachwyciło?





Znowu czerwona plama. Może od wina? W moim rodzinnym domu do Wigilii nie pijało się ani wina, ani innego alkoholu, który w ogóle rzadko gościł na stole. Kalifornia, nasz pierwszy przystanek w Ameryce, nauczył nas delektować się winem, które jest przecież częścią liturgii. Tak jak chleb – na naszym stole chałka, co dopiero z pieca wyjęta, błyszcząca i brzuchata! W czasie Wigilii zawsze tak, jak opłatek, łamiemy ją, nigdy kroimy.

Św. Mikołaj przychodził do nas w Polsce 6 grudnia, ale w Wigilię wypatrywałyśmy z siostrą Gwiazdora, zawsze z dreszczykiem

podniecenia, chociaż w czasach, kiedy wszystkiego brakowało, z prezentami było kruczo. To często były książki, czasem jakiś kołnierzyk z kordonku zrobiony przez Mamę albo sweter czy szalik przez nas wydziergany. Dostawałyśmy też pomarańcze – w tamtych czasach rarytas. Do dzisiaj pachną dla mnie egzotycznie i noszą w sobie odświeżającą aurę. Jako dziecko nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że za każdym razem przegapiłam Gwiazdora. Powiewająca na wietrze firanka i trzepocąca głośno okienna framuga dawały znak, że właśnie był i zostawił pewno pod choinką upominki. Dla naszych dzieci czar wiary w Św. Mikołaja dawno już zniknął, ale urok atmosfery niespodzianki jest zawsze obecny, gdy nagle, w jakiś magiczny sposób pojawia się przy drzwiach worek pełen prezentów.

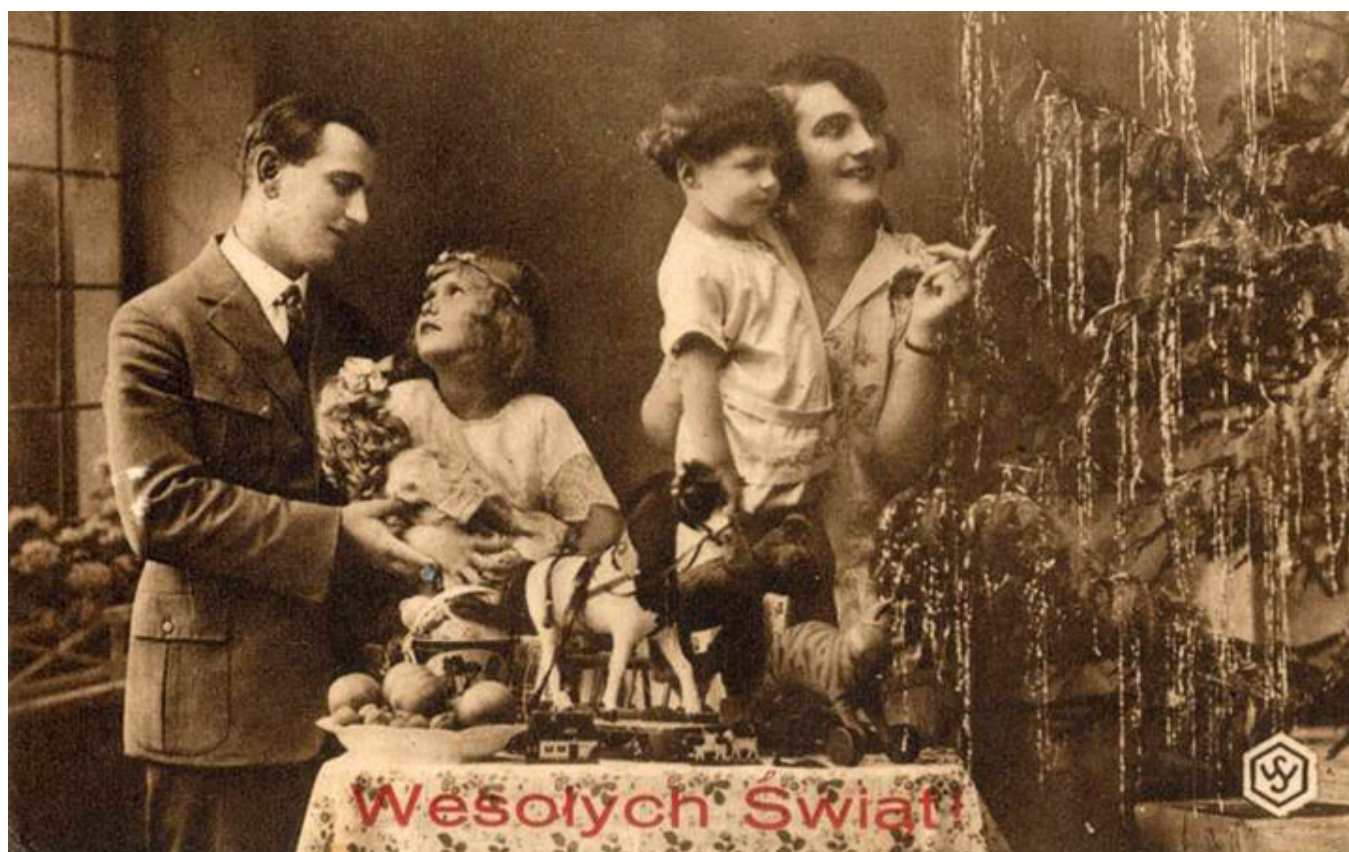
Ręka boli mnie już od przyciskania żelazka, ale podziwiam finezyjne hafty. Jaka perfekcyjna robota! Przypominają mi się ozdoby na choinkę robione z aptekarską precyzją przez mojego Tatę. Dość wcześnie odszedł od zawodu architekta i właśnie do takich zajęć wykorzystywał swoje wspaniałe zdolności manualne i artystyczne. Z wydmuszek (ale przewracał oczami z zachwytem spijając jajko!) robił główki pajacyków, potem malował flamastrem roześmiane buzie, z gofrowanej bibułki robił misterne kryzy, a z kolorowego papieru różnobarwne czapki. Na czubku zawiązywał sznureczek i takie, jedyne w swoim rodzaju zabawki wieszaliśmy na choince. Po latach bibułka wypłowiała, wydmuszki się wykruszyły, dawno już z nich nic nie zostało. Na

naszej amerykańskiej choince ozdoby własnoręcznie robione w czasach wczesnoszkolnych przez nasze dzieci uzmysławiają nam co roku, jak czas upływa.

Jeszcze ostatni rzut oka, czy nie przeoczyłam jakiegoś miejsca, potem ostrożnie składam obrus tak, żeby hafty nie wypadły na zgięciach. Złożony, wygłaskany, wypieszczony chowam – na następny rok.

Święta Bożego
Narodzenia w naszym
polskim domu. Łódź

lata 50. XX w.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Barbara M.J.Kukulska

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Wspomnieniem sięgam do mojego domu rodzinnego. W naszym domu mieszkało wiele osób, choć praktycznie była nas czwórka; rodzice, mój starszy brat Zbyszek i ja. Jednak zawsze gościł ktoś

potrzebujący pomocy.

Mieszkanie w kamienicy w Łodzi było metrażowo duże, ale znajdowały się tylko trzy pokoje i rozmieszczenie dodatkowych osób wymagało specjalnego ustawienia mebli. W tym była niezastąpiona moja matka, która potrafiła w parę godzin całkowicie poprzestawiać ciężkie meble w całym mieszkaniu, czym doprowadzała mnie do rozpacz, gdyż gubiłam się! Tylko miarowe cykanie i wybijanie godzin, dawało znać gdzie znajduje się olbrzymi wahadłowy zegar. Uspokajało, że jednak to jest moje mieszkanie.

Zanim poszłam do szkoły, przez kilka lat mieszkała z nami babunia Zofia, urodzona warszawianka, ale dorosłe życie spędziła w Poznaniu. Posługiwała się językiem niemieckim biegle, tak jak polskim i kiedy byłyśmy same bardzo często mówiła do mnie po niemiecku, aby mnie nauczyć tego języka. Rodzice niechętnie na to patrzyli, gdyż uważali, że w pierwszym rzędzie powinnam znać język ojczysty. Babunia zaprzestała rozmów po niemiecku, ale nauka nie poszła w las i dużo później okazało się, że znam ten język.

Znajomość języka niemieckiego miała kolosalne znaczenie właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. W tych ciężkich czasach przełomu lat 50. zeszłego stulecia, niezwykle trudno było zdobyć jakiekolwiek prezenty. Dlatego kilka miesięcy

wcześniej jak coś pokazało się w sklepie, rodzice kupowali i chowali skrzętnie przed nami, aby nam zrobić niespodziankę w wieczór wigilijny. Po kupnie prezentu dorośli dyskutowali, co komu dadzą. Śmieszne dla mnie było to, że mówili otwarcie w obecności dzieci, myśląc, że porozumiewają się „sekretnym językiem” czyli po niemiecku, a my nic z tego nie rozumiemy.

Powiem szczerze, dziwiłam się mając cztery lata, dlaczego przy mnie omawiają różne tajemne sprawy i zaznaczają, że nie wolno o tym mówić Basi! I tak filozofowałam, że doprawdy trudno zrozumieć dorosłych, a szczególnie moich rodziców! Zatem, aby nie zrobić im przykrości, grałam razem z nimi, że nic nie rozumiem i nic nie wiem! Pocieszałam się, że może ktoś z dalszej rodziny prześle paczkę, czy przyjedzie na święta z prawdziwą niespodzianką. Rozpalało to moją wyobraźnię, co dostanę i nawet jeśli wiedziałam, że będzie to upragniona laleczka, to w myśli tworzyłam obrazy uszytych dla niej sukienek.

Krótko po II wojnie światowej nie przelewało się nikomu. A jednak święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok.

Już co najmniej miesiąc wcześniej w każdym domu przystępowało się do wykonywania ozdób na choinkę: łańcuchów sklejanych z kolorowych papierków, gwiazdek i koszyczków plecionych z białych paseczków, malowania wydmuszek z jajek i robienie z nich lalek i pajaców do wieszania na choinkę. Na czubku drzewka koniecznie musiała być zamieszczona gwiazda symbolizująca gwiazdę



betlejemską. Im bardziej była okazała, tym więcej pochwał dostawali gospodarze od gości odwiedzających w czasie świąt.

Najwięcej starania pochłaniało przygotowanie szopki. Nie na próżno się mówi, że „potrzeba jest matką wynalazków”. Zupełnie nie mogłam zrozumieć intencji mojej babuni Zofii, kiedy powiedziała, że przygotowujemy szopkę betlejemską, ale wpierw musimy iść na targ. Wybrałyśmy się na Zielony Rynek, a tam było pełno wozów ze wsi z różnymi towarami: gdakające kury i piejące koguty w koszykach, jajka, ziemniaki, sery, mąka, kasze w dużych worach, a na końcu rynku: stały stłoczone beczące owce i kozy.

Babunia podeszła do wieśniaczki i poprosiła o kilka piór i słomę,

a od właściciela owiec dostała trochę runa. Z takimi trofeami wróciliśmy do domu. Miałam wtedy cztery, może pięć lat i wszystko nadzwyczaj mnie dziwiło.

Siadaliśmy do stołu, na którym poukładane były kromki chleba, kolorowe ścinki tkanin, słoma, sucha trawa, kawałki desek, kolorowe papiery i farby. Najpierw trzeba było użyć chleba, aby stanowić gęstą masę, z której lepiliśmy figurki Rodziny Świętej, Aniołów, pasterzy, zwierząt. Babunia, która malowała piękne obrazy i miała złote ręce do prac artystycznych, kierowała naszymi pracami. Jej postacie były wypracowane, ona też uczyła jak mają być wykonane stroje Matki Boskiej, Świętego Józefa i pasterzy. Każdy chciał ubierać w koszulkę Pana Jezuska, ale babunia wybierała sprawiedliwie tylko ładne i starannie wykonane prace. Lepiliśmy też owieczki i przystrajane były runem, Aniołowie mieli przytwierdzone prawdziwe pióra. Dach stajenki przykryty był słomą, a żłóbek wypełniony aromatyczną trawą. Umocowana była kometa nad stajenką w Betlejem. Podczas wielogodzinnego wspólnego siedzenia, opowiadane było przez dorosłych życie Świętej Rodziny, jazda na osiołku i narodziny Dzieciątka w ubogiej szopie. Słuchałam tych opowiadań z zapartym tchem, jak Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a poprzez wspólne tworzenie stajenki betlejemskiej, przeżywałam życie Małego Jezusa jako osoby znanej mi i bliskiej.

Na zakończenie wszyscy uważaliśmy zgodnie, że wykonanie

szopki było najważniejsze i najciekawsze. Szopka była gotowa. Łańcuchy i uplecione gwiazdki czekały w pudełku na dzień wigilijny, kiedy miały zostać powieszone na choince.

Niebywałym wyczynem było zdobycie pachnącego świerku lub jodły. Ponieważ mieszkanie było wysokie na 4,5 metra, więc i choinka musiała prezentować się okazale i sięgać do sufitu! Nie mogliśmy doczekać się na ten upragniony dzień ozdabiania naszego drzewka.



Tradycyjnie cały rytuał rozpoczynał się w godzinach rannych w

wigilię. Zapach iglastego lasu unosił się w całym mieszkaniu zmieszany z aromatami kuchennymi i wypiekami drożdżowych ciast. To wszystko wpływało na atmosferę podniecenia przed najważniejszym momentem dla dzieci: szukania prezentów pozostawionych pod choinką przez świętego Mikołaja. W ozdabianiu drzewka brała udział cała rodzina i przyjaciele. Do umieszczenia na czubku choinki gwiazdy pieczołowicie wykonanej i posypanej brokatem, aby się świeciła, trzeba było użyć wysokiej drabiny, którą mieli nasi sąsiedzi. Przy okazji pożyczania i oddawania drabiny, odwiedzało się sąsiadów składając życzenia.

Na drzewku wypełniającym swoimi rozłożystymi konarami niemalże pół stołowego pokoju wisiały oprócz ręcznie wykonanych ozdób, szklanych błyszczących bombek, również smakołyki: cukierki w kolorowych papierkach, orzechy, wyglansowane i błyszczące czerwone jabłka i inne owoce. Owoce same w sobie były już rarytasem na który można było tylko patrzeć i podziwiać. Aby dostać jabłko z drzewka, musiałam bardzo się starać i zasłużyć na tę nagrodę za dobre zachowanie. Przedtem jednak przez wiele dni wpatrywałam się w smakołyki i ciekła mi ślinka od patrzenia!

Ubrana choinka z zapalonymi woskowymi świeczkami wzbudzała zachwyt nie tylko dzieci, ale dorośli też byli pod urokiem tego wigilijnego wieczoru.

Choć czasy były ciężkie i trudno było zdobyć karpia, śledzie, czy szynkę na świąteczny stół, to zawsze w jakiś magiczny sposób udawało się coś kupić.

Bardzo pomocni w dostarczaniu żywności, byli wujostwo Maria i Wacław Tarnowscy, mieszkający w Dobrzelinie pod Kutnem. Wujek przed II wojną światową i po wojnie był głównym udziałowcem w Cukrowni Dobrzelin, gdzie też był zarządcą.

Dzięki hojności wujostwa moi rodzice przetrwali wojnę, a później nie umarli z głodu. Wujek Tarnowski przelał całe uczucia na mnie, po śmierci swojej córki Wandy w kanałach w czasie Powstania Warszawskiego. Byłam adorowana przez tego uroczego starszego pana, który traktował mnie jak prawdziwą damę, choć miałam zaledwie cztery lata!

Biała serweta, siano pod obrusem, udekorowany gałązkami stół, nakrycie dla niespodziewanego gościa (zawsze ktoś przyszedł i trzeba było dostawiać nie tylko talerze, ale i krzesła) oraz na półmiskach potrawy dekoracyjnie ułożone, dawały nastrój wyjątkowy. Tradycyjne potrawy wigilijne przygotowywane były według dawnych rodzinnych receptur. Każdy region Polski miał odrębne zwyczaje i moi rodzice, którzy pochodzili z różnych stron Polski, zawsze uzgadniali, która z potraw będzie serwowana.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Przychodzili goście, aby wspólnie świętować Narodzenie Pana. Bardzo oczekiwani byli wujostwo Brzezińscy mieszkający kilka domów dalej na tej samej ulicy Gdańskiej. Wujek Wacek wykładał w Konserwatorium Muzycznym, które znajdowało się naprzeciw naszej kamienicy. Wujek był synem sławnego profesora Wacława Brzezińskiego, który wylansował śpiewaka Janka Kiepurę. Wujek Wacek miał operowy głos, jego żona Basia pięknie śpiewała i wspólnie z moją matką, która miała sopran koloraturowy tworzyli doskonałe trio. Ktoś z przyjaciół pianistów akompaniował przy zgaszonym świetle. Paliły się świece w lichtarzach pianina i błyszczała choinka z zapalonymi świeczkami. Pełną piersią śpiewaliśmy kolędy i nam dzieciom,

wydawało się, że to śpiewają sami Aniołowie. Nigdy później w moim życiu nie słyszałam tak profesjonalnie wykonanych pieśni bożenarodzeniowych.

Wśród prezentów zostawianych przez świętego Mikołaja zawsze znajdowały się kalendarzyki na następny rok, z życzeniami aby był pomyślny i upłynął spokojnie. Tym „Mikołajem” był mój tatuś, który poprzez pozytywne życzenia prowokował dobry los do spełnienia oczekiwań. Muszę przyznać, że te kalendarzyki były jakby czarodziejskie, tworzyły dobry klimat i pozwalały myśleć o nadchodzącym Nowym Roku jako o zwiastunie nadziei na lepsze jutro.

W okresie Bożego Narodzenia, pod koniec lat 40. XX wieku, Politechnika Łódzka gdzie pracował mój ojciec, urządzała dla dzieci pracowników spotkanie ze świętym Mikołajem, który rozdawał paczki ze słodyczami i owocami. Wielkim luksusem w paczce była pachnąca pomarańcza. Spotkania były bardzo uroczyste. Panowie profesorowie witali się z dziećmi poprzez podanie ręki i elegancki ukłon. Grzecznościowo zamieniali też kilka słów z każdym dzieckiem. Następnie były konkursy recytacji i piosenek. Oklaskami zgromadzeni nagradzali zwycięskie dziecko. A potem poprowadzeni przez wodzireja tworzyliśmy taneczny łańcuch oplatający całą salę balową, która w tym dniu była udekorowana lampionami i łańcuchami. Śpiewaliśmy kolędy i chrupaliśmy orzechy. Spotkania

przygotowane były doskonale. Dopiero parę lat później na skutek oficjalnych komunistycznych zarządzeń, spotkania bożenarodzeniowe zmieniły nazwę na witanie Dziadka Mroza. Nikt z dzieci nie cieszył się już tak jak dawniej, gdy witał nas święty Mikołaj.

Dni świąteczne mijały szybko i wykładnikiem upływającego czasu, była sypiąca igłami choinka. Aż wreszcie, kiedy straciła cały swój majestat i krasę, była rozbierana. Na suchych gałęziach zostały jedynie łańcuchy, białe gwiazdeczki i bombki. Zniknęły owoce, cukierki i orzechy. Część z nich, szczególnie te, które wisiały wysoko, była zdejmowana oficjalnie i w nagrodę obdarowywani byliśmy za dobre zachowanie, jednak znaczna część zniknęła bez śladu, nie wiadomo było czy to ktoś nocą potajemnie zdejmował z drzewka, czy też niby przez nieuwagę „strącił” czerwone jabłuszko.

Mijały święta mojego dzieciństwa, tak długo oczekiwane, ale pamięć związana z przeżyciami i przygotowaniem pozostała na zawsze, jako czas niezwykły, gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem, a Aniołowie schodzą z nieba aby spełnić ludzkie życzenia.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Wyspa. Boże Narodzenie

w Centrum Mazowsze na Hindmarsh Island w Australii.



Anna Habryn

22 grudnia 1998 roku, 5 po południu.

Jest przepięknie. Droga z Cape Jarvis do Victor Harbour prowadzi wśród wzgórz i dolin, jak rollercoaster: w górę i w dół, w górę i w dół. Piaskowo-żółte wzgórza sprawiają wrażenie malowanych dekoracji teatralnych: są łagodnie zaokrąglone, jeden pagórek przechodzi w drugi pagórek...

Zjeżdżając z góry do Victor Harbour podziwiamy te cudowne kolory z lotu ptaka. Zatoka jest czysto błękitna, brzegi są żółto-płowo-oliwkowe, spiczaste czubki sosenek podkreślają obłóść pagórków. Do tego jeszcze kolorowe dachy usadzonego wśród tych wzgórz i lasków miasta...

Postanowiliśmy znaleźć obóz harcerski na Hindmarsh Island. Chcemy przenocować jedną noc u polskich harcerzy.

Na Hindmarsh Island przepływamy promem. Nie możemy znaleźć ani pomnika, ani posiadłości harcerzy, ale dojeżdżamy do ujścia rzeki Murray. Jest to szerokie rozlewisko. Ludzie łowią ryby z plaży, ale my stajemy tu tylko na noc, parkujemy naszego kamperwana na końcu drogi. Nikt nas tu nie znajdzie... Hmm, źle powiedziane, stoi tu sześć samochodów, ale prawdopodobnie odjadą wieczorem, a my zostaniemy.

To chyba śpiewa skowronek?! Wysoko w niebie, nad tym suchym polem...

23 grudnia

Wyspa jest urozmaicona bardziej, niż nam się wydawało. Ta druga jej część, zwrócona ku miastu Gulwa, jest nieco zalesiona i na tym właśnie brzegu, w pięknym lesie jest Centrum Mazowsze. Stoi tu kilka półokrągłych baraczków takich jak te „beczki śmiechu”, w których mieszkały przed pięćdziesięciu laty pierwsze grupy przybywających do Australii Polaków. Opiekuje się tym ośrodkiem rodzina z tzw. nowej Polonii, która mieszka w takim baraczkach od kilku miesięcy: ojciec, matka, dwoje dzieci. Mieszkają tu czasowo i budują sobie dom w mieście.

Pachnie intensywnie, po polsku, sosną. Pod drzewami stoi trochę zbitych z okrągłych mebli: stoły, ławy, estrada i podłoga z desek, na której za kilka dni, w Sylwestra, będą tańce. Stoi nawet choinka, ubrana dla dzieci. Kilka baraczków z falistej blachy i dwa harcerskie namioty stoją na razie puste. Nad jeziorem, po drugiej stronie drogi, wybudowano murowany dom. Są tam prysznice, a których wolno nam korzystać i ktoś tam wczoraj zamieszkał, więcej nie ma tu nikogo. Na razie.

Ta wyspa cała była kiedyś własnością Polaków. Jedna z dróg nazywa się Semaszko, druga Nanicz... Gdzieś jeszcze jacyś Polacy mają swoje domki letniskowe.

Gospodarze Ośrodka to bardzo miła rodzina. Wydają się

naprawdę szczęśliwi, że przyjechaliśmy, my też jesteśmy szczęśliwi, bo bardziej nam się tu podoba niż w kempingu w Adelaide, gdzie mieszkają przyjaciele, współtowarzysze podróży. Tamci powinni dzisiaj tutaj zjechać. Byliśmy u nich zaprosić ich na wigilię, ale nie chcieli do nas przyjechać, bo im się wydawało za daleko, a poza tym w ich karawanparku miało być świąteczne party z darmowym jedzeniem i piciem. Tak więc wybrali party wśród Australijczyków. Daj im Boże zdrowie. Może będą mieli dobrą wigilię, ale czy lepszą niż my – wątpię.



Wigilia...

Następnego dnia po przyjeździe zrobiliśmy Wigilię wspólnie z gospodarzami.

Tuż przed wigilią łowiliśmy karpie z drewnianego pomostu do cumowania łódek. Złowiliśmy pięć ryb, które zresztą upieczone później w folii na *barbacue* pachniały mułem. Karpi w Południowej Australii nie brakuje, wprost odwrotnie. Przywieziono je z Europy, wpuszczono do rzeki i... rozmnożyły się tak, że zagroziły miejscowej faunie. Kiedy miejscowi wędkarze złowią karpia, wyrzucają go z obrzydzeniem w nadbrzeżne krzaki! No, ale my musieliśmy przecież mieć na wigilijnym stole karpia, żeby było „po polsku”!

Dookoła nas pływała kaczka z dwoma kaczątami. Córką Edka, mała Oliwia wyjaśniła nam: kilka dni temu było tych kacząt pięć, ale coś je widać pozjadało i zostały dwa. Stara odganiała wszystkie inne kaczki, ale jak jej rzucaliśmy kawałek ciasta, to dzieci musiały z nią współzawodniczyć, żeby złapać kasek. Widać niedobra z niej matka! Oliwia złapała podbierakiem jedno z tych kaczątek i wyciągnęła je z wody. I wtedy... wtedy kaczka podniosła rozpaczliwy krzyk! Zaczęła się miotać po wodzie, pióra stanęły jej dęba... Tak rozpaczała, tak się strasznie awanturowała, tak protestowała przeciwko temu, co się działo, to

były takie zupełnie ludzkie uczucia... Powiedziałam do Oliwii: „Puść je, ja tego nie wytrzymam”.

Wigilia była wspaniała.

Mieliśmy nawet więcej niż dwanaście potraw. Ja zrobiłam zupę grzybową, ale Zosia zrobiła za to trzy inne zupy: i żurek czerwony, grochówkę i żurek biały, był też karp smażony i moje śledzie z cebulką i pierogi ruskie – wielka uczta!



Hindmarsh Island

Boże Narodzenie

Po raz pierwszy w tej podróży rozłożyliśmy obóz całkowicie, tzn. rozbiliśmy oba namioty i powiesiliśmy między drzewami hamak. Wczoraj próbowałam leżeć na tym hamaku, ale był taki wiatr, że wydawało mi się, że na głowę pospadają mi nie tylko olbrzymie szyszki, ale i gałęzie. Nie wytrzymałam nerwowo.

Ale dzisiaj się wiatr uciszył i kto wie, może znowu sobie poleżę?

Na drzewach siedzi całe stado papug *galah*. Mają różowe brzuszki. Są szare, ale w słońcu mienia się różnymi kolorami. W tym lesie jest w ogóle dużo ptaków. Pod nogami mięciusiańska ściółka z igieł i szyszki i byłoby bardzo, bardzo przyjemnie, gdyby nie komary, niestety. Oganiamy się, a wieczorem muszę zamykać samochód i przed snem wysikać go trucizną w aerozolu, zabójczym preparatem. Komary spadają martwe, my też jesteśmy potem lekko podtruci, ale dopiero potem spokojnie śpimy.

Drugiego dnia świąt jedziemy do miasta, czyli do Adelaide, na wcześniej umówione spotkanie z kimś ze „starej Polonii”. Tadek jest w dobrym humorze. Dobrze mu się żyje. Ja robię wywiady ze starymi polonusami, z przeznaczeniem do archiwum w Kanberze, w ramach projektu „Oral History”, a on sobie popija piwko. Jemy świąteczne ciasta, którymi nas ludzie częstują, popijamy wiśnióweczki i koniaczki, próbujemy bigosów, jednym słowem, korzystamy z tego, że mamy „historyczną misję” do wypełnienia wśród Polaków. Właściwie prawie wypełniłam już mój program

nagrań. Teraz tylko pozostaje dowieźć taśmy do Polsko-Australijskiego Instytutu Historycznego.

Później

Wracając, przy przeprawie promowej trafiliśmy na zator: kolejka samochodów, wóz policyjny na sygnale, jakiś *towtruck*... Nie wiedzieliśmy, co się stało. Gospodarz na Mazowszu, Edek, powitał nas ze zwichrzonym włosiem i z rozpaczą w oczach. Okazało się, że syn znajomych Polaków z wyspy, chłopak 16-letni, rozbił się samochodem, na śmierć. Chłopcy przywieźli ze sobą na wakacje *jet-ski*, czyli skuter wodny. Wywalił im się i pędzili, żeby go ratować. Rąbnęli samochodem w drzewo.

Jak się ma dorosłe dzieci, to człowiek stara się odzwyczaić od ciągłego myślenia o nich, narzuca sobie siłą woli dystans, żeby już nie myśleć o tym, że jego dzieciom może się coś stać. Ale kiedy się ma małe dzieci, ten instynkt jest bardzo silny...

Edward ma dwoje dzieci, syn ma osiem lat, córka dwanaście. Ja rozumiem uczucia kogoś, kto myśli o tym, że mogło by się jemu coś takiego przytrafić.

Przypomniała mi się ta kaczka szalejąca z rozpacz...



30 grudnia

Pojechaliśmy do Adelajdy na ostatnie spotkanie z K. Podróż zajęła nam dwie i pół godziny, a to dlatego, że czekaliśmy na przeprawę promem chyba z półtorej godziny. To są warunki niezwykle, świąteczne, ale tak już będzie przez całe wakacje. Kolejka olbrzymia, z prawej strony podjeżdżają samochody stałych mieszkańców wyspy, z przepustką. Reszta czeka. Wyspiarze jednak nie chcą wcale budowy mostu. Wcale nie pragną, żeby każdy mógł się łatwo dostać na Wyspę. (Od tego czasu dużo się zmieniło: most jednak zbudowano).

Z państwem K. pożegnaliśmy się w drzwiach, na stojąco. Oddałam im życzliwie pożyczoną nam kilka dni wcześniej mapę. Na wzmiankę o tym, że mieszkamy na Hindmarsh Island, zapanowało milczenie. Wymowne, z uniesieniem brwi do góry. Nie wiedziałam, o co chodzi, aż spotkałam się z ludźmi, którzy na tej Hindmarsh Island wprowadzają swoje porządki i wtedy dopiero zrozumiałam, jak głęboki jest konflikt między „nowymi” a „starymi” Polonusami w Adelaide.

Przyszedł Sylwester. Atmosfera jest nieco nerwowa, bo zaledwie przedwczoraj dowiedzieliśmy się o śmierci tego chłopaka. Bardzo wielu jego kolegów miało być na tym sylwestrze na Wyspie. Cała ta rodzina była bardzo związana z Mazowszem. Ojciec prowadził tu często dyskoteki. Ostatnio organizował w ośrodku Andrzejki. Oczywiście w obliczu tragedii wszyscy ci ludzie i ich znajomi odwołali swój przyjazd. Niemniej zjechało na Wyspę około 80 osób, nie licząc dzieci. Bal musi się odbyć. Muzyka będzie dyskotekowa. Wystąpi też Mietek Kosmański, miejscowy muzyk i poeta śpiewający ballady, podobno bardzo dobry.

1 stycznia 1999

Początek nowego roku obchodzono hucznie, bo puszczano na polanie fajerwerki. Cierpła mi skóra na myśl, co będzie, jak się ten suchy las zapali, ale się nie zapalił.

Potem były tańce, ale nastrój był nieco przygaszony. Tadeuszowi zrobiło się przykro i nawet się zmobilizował i zatańczył ze mną ze dwa razy. Poznaliśmy kilkoro miłych ludzi, między innymi Krysie i Andrzeja, parę działaczy, która zorganizowała całą tę sylwestrową zabawę. Dobrze po północy rozmowy Polaków pod sosnami na Hindmarsh Island były bardzo szczere i osobiste. I daleko sięgające w historię. Andrzej zwierzał się Tadekowi, że za działalność w NSZ-cie i AK jego rodzice dostali długoletnie wyroki. Pamięta, miał już wtedy kilkanaście lat, jak przyjechała do nich stara kobieta i powiedziała: „Jestem twoją matką”. Usłyszeliśmy też całą historię bitew o przetrwanie i nadanie nowego, prawdziwie harcerskiego charakteru (o przywrócenie charakteru – twierdzą R.) tej placówki, którą oni nazywają „stacją na wyspie”. Bardzo mi to przypomina walkę, którą my, tak zwana nowa Polonia, przegraliśmy w Perth.

Tutejszym się jednak coś udało zdziałać. Ale wtedy zaczęli walkę między sobą. Krysia i Andrzej opowiadali mi, jak to odebrali władzę na Polu pani B., która trzęsła tutaj wszystkim. To też pani z nowej Polonii, miała koło siebie grono 30 ludzi. Oni tu mają 16 takich działaczy, ale z towarzystwa B. przeszła do nich prawie połowa ludzi. Byli zadowoleni, bo część z tych ludzi, którzy byli na zabawie i zostali długo po sylwestrze i bawili się świetnie, to właśnie była „opozycja”.



Hindmarsh Island

Niestety, dla nas ten rok zaczął się bardzo niedobrze: chorobą Tadeusza. Właśnie leży i poci się po tych Panadolach, które mu dałam. Na Wyspie nie ma lekarza. Chociaż... Ma tu swoją farmę strusi lekarz Polak, przyjmuje dzisiaj gości. Byliśmy u niego w noworoczny wieczór, powiedział: „Ja już jestem po kilku kielichach, nie palę się, żeby jechać do chorego, bo nawet nie mam tu swego sprzętu – ja tu nie praktykuję!” I poradził nam, żeby jechać do szpitala, jeśli to jakieś zapalenie żył, bo na to wygląda.

Jutro więc będzie trzeba jechać znów do Adelaidy, zrobić badania

w szpitalu, odwiedzić pilnie jakiegoś lekarza.

Na razie Tadzio ma gorączkę. Leży mokry. Jak przeżyjemy noc, nie wiem. Dzisiaj nie chciał nigdzie jechać, uparł się: on w Nowy Rok nie będzie chorował, to byłaby zła wróżba na cały rok! Co taki upór może zmienić?

5 stycznia

Następnego dnia, w sobotę, Tadzio czuł się pozornie lepiej, ale zgodnie z zapowiedzią dał się zawieźć do lekarza. I tak, Tadzio spędził dwie następne noce w szpitalu. A ja nocowałam na zewnątrz, w samochodzie. Pierwszą noc będę pamiętać do końca życia, bo o północy wylądował ze straszliwym hukiem helikopter, siadając prawie na dachu mojego kampera!

Mając samotną niedzielę do dyspozycji poszłam do ogrodu botanicznego. Ogromnie mi się podobał, było w nim cieniście i swojsko. Nad strumieniem posadzono tam nawet mały laszek brzozowy: trzynaście brzózek, mniejszych i większych, różnych gatunków. Można się położyć pod tymi brzozami na wilgotnej, miękkiej trawie i człowiek czuje się szczęśliwy. Potem odwiedziłam poznanego na zabawie sylwestrowej Krzysztofa W., który z kolei posłał mnie do pana Dudzińskiego, bardzo miłego 80-latka, u którego siedziałam, rozmawiając, do północy. Drugą więc noc spędziłam na *driveway'u* pana Dudzińskiego, parkując

obok starego radiowego wozu transmisyjnego, w którym mój gościnny gospodarz od lat montuje swoje programy radiowe dla polskiego radia w Adelaide.

W poniedziałek znowu był straszliwy upał, gdy jechaliśmy z powrotem na Wyspę. Dzisiaj zaś, jak Tadeusz mówi, Pan Bóg gładzi tę ziemię uspokajająco, bo spuścił na nas kilka kropelek deszczu. Jest pochmurno, grają cykady, jest dosyć przyjemnie bez słońca.



Hindmarsh Island

Dwa dni później

A potem rozpadało się, gdy już byliśmy gotowi wyjeżdżać. Było sennie, Tadek kurował swoją nogę, a nasi przyjaciele znowu mieli mokry namiot i nie mogli się złożyć. Wszyscy pili więc piwo, które z jakichś zapasów klubowych wyciągał Edek.

Ostatni dzień spędziliśmy w odwiedzinach u Doroty i Mietka. Mietek to właśnie ten poeta, który w sylwestra śpiewał swoje nieco smutne ballady w przerwie między tańcami na Mazowszu. Jak przyjechaliśmy, Dorota była w pracy, zaś „mały” Wojtek, nastolatek, tłukł sznycle cieleńce klęcząc na betonowej podłodze. (Betonowej, bo tata zamiast desek na podłogę kupił właśnie Rolanda!) Bardzo rzeczowo i solidnie się do tego zabrał, wyglądało to tak, jakby każdym uderzeniem tłuczka wbijał w beton gwoździe. Niemniej, po dwóch godzinach te sznycle zostały podane na stół, razem z pieczonymi kurczakami i jeszcze innymi smakowitościami. Piliśmy do tego czerwone wino, a gospodarz, mimo że miał solidnie w czubie, śpiewał dla nas swoje utwory, z trudem przypominając sobie słowa. Nagrałam to...

Jego piosenki są smutne, pełne tęsknoty, proste i – przede wszystkim – szczerze, może nie gorsze niż Jacka Kaczmarskiego, może bardziej serdeczne. Mniej wymyślne, kulturalne, intelektualne. Wybaczyłam mu, że cały czas się czepiał mojej pięknej polskiej wymowy i podkreślał, że się nie mówi „przyszedłem” tylko „przyszłem” itp. Ma kompleks, czy co?

A potem jeszcze raz wróciliśmy na Wyspę, gdzie już w ogóle nie ma wody. Korzenie drzew zadusiły rurę plastikową, którą się ciągnie wodę z rzeki do kuchni i łazienek. Żeby skorzystać z toalety i wykąpać się trzeba było zejść do domku nad rzeką. Myśmy na szczęście mieli rozłożony pełny obóz, z łazienką i toaletą, toteż nie musieliśmy biegać, ale czas już było wyjeżdżać. Siedzieliśmy na Wyspie 17 dni, dłużej niż gdziekolwiek indziej podczas całej naszej podróży dookoła Australii. Siedzieliśmy, bo było nam swojsko i po polsku. I warto będzie to Boże Narodzenie pamiętać.

Fragment z zapisu podróży kamperwanem dookoła Australii.

Krystyna i Konrad

Sadowscy



Konrad Sadowski, ceramika, fot. arch. rodziny Maślowskich.

Maciej Maślowski

Bardzo dużo robi się dzisiaj dla upowszechnienia kultury. Ale nie wszystko zostało wynalezione w tej dziedzinie dzisiaj albo wczoraj. Niektóre dobre wynalazki – zapomniane obecnie – stosowane były z ogromnym powodzeniem przed wielu laty. Za

taki trafny i skuteczny sposób propagandy kulturalnej uważam, funkcjonujące w okresie kilku lat przedwojennych, Wakacyjne Instytuty Sztuki – letnie wolne wszechnice literatury, muzyki, malarstwa, krytyki, estetyki, gromadzące przy jednym stole zapalonych miłośników, wielkich artystów i znakomitych uczonych – za jak małe pieniądze, z jak niewiarogodnie skromną administracją. Dwa takie WIS-y, poświęcone wyłącznie sztuce ludowej, której oddawałem wówczas niemało urzędowego i nieurzędowego czasu, sam wykoncypowałem i zmontowałem w 1938 i 1939 roku – w Żabim i w Zakopanem.

W Żabim organizacja jeszcze trochę kulała, ale w Zakopanem wszystko zostało zapięte wcześniej na ostatni guzik. Lista słuchaczy, obejmująca starannie dobraną setkę, spośród przeszło czterystu zgłoszeń, została ostatecznie i bezapelacyjnie ustalona w końcu maja, na sześć tygodni przed otwarciem Instytutu. Ale dalsze deklaracje ciągle jeszcze napływały, oczywiście skazane na niepowodzenie.

Z wyjątkiem jednej – najbardziej opóźnionej – zgłoszonej mi osobiście już w końcu czerwca – nie do odparcia. Tą nadprogramową reflektantką była bowiem nasza świetna artystka – tkaczka, laureatka Wystawy paryskiej 1937 roku – gdzie zademonstrowała z grupą ład piękną makatę p.t. „Wegetacje” – Krystyna Kopczyńska. Taki był początek naszej ówczesnej krótkotrwałej znajomości i długiej, bo dotąd

przetrwalej, przyjaźni.

Kopczyńska interesowała się wtedy żywo i niebanalnie problematyką ludowego prymitywu. Pragnęła rozgryźć ją do dna – dla najbardziej praktycznych i realnych potrzeb własnej sztuki – może po to, aby się oswobodzić od sugestii ludowości – a na pewno dlatego, aby się wyzwolić ostatecznie od nacisku warszawskiego środowiska akademickiego, od „ładowskich” koncepcji formalnych, gdzie ciągle jeszcze były widoczne nie przetrawione elementy zdobnicze naszego chłopskiego warsztatu. Zakopiański WIS dla takich planów poznawczych i poszukiwań mógł stanowić zgoła wyjątkową okazję.

Trwał od 5 do 28 lipca. Wykłady, wycieczki w teren, prace w Muzeum Tatrzańskim, lektura, muzyka Obrochtów – ale takie część nieoficjalna – w owej, dziwnej, niezapomnianej, niespokojnej, gęstej jakiejś atmosferze ostatnich tygodni przedwrześnia – część nieoficjalna przemilczana i przegadana u Trzaski i gdzie indziej – nie tylko o sztuce, o ludziach, ale i o wojnie – w jakimś zaczarowanym kole „Przepióreczki” – wśród prześwietnych zakopiańczyków – Zborowskiego w krótkich portkach, Bystronia z nieodstępną fajką, Mierczyńskiego z gęśłami pod pachą, Seweryna, Jastrzębowskiego, wśród tak wysokiej klasy „ceprów”, jak wiecznie kobieca i młoda prof. Cezaria Baudouin de Courtenay, jak Ossowski, Szuman, Chybiński, Irena Karpińska... Niewątpliwie ostatni WIS wypadł

na piątkę.

Po powrocie do Warszawy spotkałem jeszcze kilkakrotnie znakomitą naszą tkaczkę - w okresie, kiedy coraz więcej reflektorów strzelało po chmurnym niebie. W czasie jednego z takich spotkań przy pół czarnej poznałem jej narzeczonego. Był nim oficer-lotnik, Konrad Sadowski.

I tutaj urywa się wątek opowiadania. Rozdział następny powinien nosić tytuł: „W dwadzieścia lat później”, bo po takim mniej więcej upływie czasu, zupełnie nieoczekiwanie otrzymałem kartkę z Londynu od pani Krystyny Sadowskiej, sławnej plastyczki kanadyjskiej odbywającej tournée po Europie, a potem od jej męża - nie mniej za oceanem znanego lotnika, jak również plastyka, Konrada Sadowskiego.

Dziwne bywały bowiem koleje polskich żołnierzy walczących na obczyźnie za wolność. Nawiązany kontakt listowny powoli odsłaniał mi dziwną historię tej niecodziennej pary artystycznej - historię dzisiaj już w połowie zamkniętą - bo otrzymane od Krystyny Sadowskiej listy przyniosły smutną wiadomość o śmierci jej męża w 1960 roku. Wkrótce potem otrzymałem z Toronto paczkę pięknych fotosów i trochę wycinków prasowych z propozycją, abym tym materiałem podzielił się z polskim światem sztuki, co uczynić mogę dopiero dzisiaj w oparciu o dostarczone mi dane.

A więc trochę faktów. Wojenna wędrówka Sadowskich rozpoczęła się od Węgier – potem Paryż – służba Konrada w polskim lotnictwie i dorywcze studia Krystyny w Academie de la Grande Chaumière. Po upadku Francji – Casablanca, Gibraltar i Londyn – od września 1949 roku, na pięć lat znowu służba Konrada. Jego żona oddaje się w tym okresie malarstwu, ze względu na trudności ze zdobyciem wełny.

Koniec wojny – nie święci garnki lepią – Konrad Sadowski rzuca lotnictwo i za namową Krystyny rozpoczyna studia nad ceramiką w Central School of Arts and Crafts. Dalszy ciąg – już teraz wyłącznie artystycznej wędrówki – to tropikalna Brazylia – Parana, gdzie obydwójce pracowali jakiś czas przed wojną wśród polskiego wychodźstwa. W Paranie montują dwie równoległe pracownie – garncarską i tkacką. Sukcesy na wystawie w Rio zwracają uwagę na ich prace. W 1949 r. zostają zaproszeni do Kanady. Po paru latach upartej pracy, prób, eksperymentów, po licznych wystawach i kilkakrotnych zmianach miejsca zamieszkania, osiadają na stałe w Toronto, gdzie Krystyna Sadowska wykłada w College of Art, a jej mąż zostaje kierownikiem garncarstwa.



Krystyna Sadowska - rzeźba, w tle Krystyna Sadowska -
rysunek, fot. arch. rodziny Masłowskich.



Krystyna Sadowska - rzeźba, w tle Krystyna Sadowska - rysunek, fot. arch. rodziny Masłowskich.

Dalsze ekspozycje, nagrody, odznaczenia. Oto suchy schemat ich kariery. Wypełnia go sztuka bez reszty. Na pewno wysokiego kalibru, oryginalna i niezależna od obiegowych gustów - idąca w kierunku awangardy.

Wątpię czy ma całkowitą rację krytyk „Crafts Horizons”, kiedy pisze: „Geniusz Sadowskich leży w tym, że jako całość stanowią nieskończenie więcej niż suma ich części. Dzięki jakiejś alchemii talenty partnerów uzupełniają się nawzajem, aby stworzyć niezwykłą mieszaninę mistrzostwa”. - Tego, co łączy ich

twórczość, nie nazwałbym związkiem organicznym, ale raczej szczęśliwie dopełniającą się współpracą, której poszczególne elementy dadzą się łatwo wydzielić.

Konrad Sadowski, jak mogę sądzić z otrzymanych danych, interesował się głównie, jeżeli nie wyłącznie, ceramiką, eksperymentował proceder techniczny, poszukując formy. Jako artystę cechowała go przede wszystkim wynalazczość formy, gdzie geometryzm łączy się z biomorfizmem.

Krystyna Sadowska wypowiada się przede wszystkim w malarstwie. Jest malarką o wrodzonym, niezwykłym zmyśle dekoracyjności. Malarstwem są nie tylko jej obrazy, ale także całe jej wspaniałe tkactwo, batiki i ceramika. Operuje ekspresją linii i koloru, sprowadzając nieraz „naturę” do parabolicznych, umownych znaków. Wystawa wielkich tkanin dekoracyjnych i batików, jaką urządziła w styczniu 1960 roku w Toronto miała świetną prasę. W jednym z artykułów czytamy o „porywającej nowoczesności pomysłów” – i o tym, że „każdy prawdziwy artysta ma pewien szczególny moment, który decyduje o zdobyciu sławy i wydaje się, że dla pani Sadowskiej on właśnie nadszedł”. I ja w to nie wątpię.

Tyle na razie o pięknej, wzruszającej, a nie znanej nam tutaj tych polskich plastyków na obczyźnie. Więcej od słów powiedzieć mogą o nich załączone ilustracje, gdzie męska, surowa forma

harmonijnie współżyje z pełną uczucia i siły dekoracyjnością, gdzie dramatyczność wyrazu łączy się nieraz z żartobliwym uśmiechem. Więcej zapewne powiedzą niż owe dziesiątki nagród i odznaczeń oraz setki pochlebnych artykułów i wzmianek, jakie ta dwójka plastyków zdobyła sobie za oceanem.

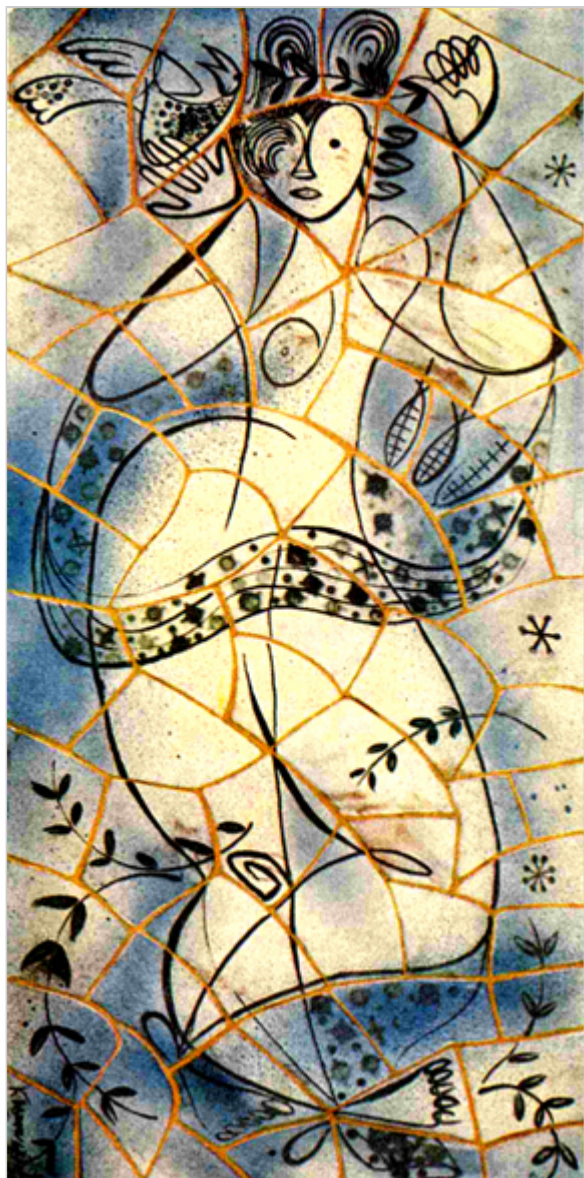
Notatka prasowa (z archiwum rodziny Masłowskich):

„The Globe and Mail” (Toronto), sobota, 9 stycznia 1960 r.

ART AND ARTISTS (SZTUKA I ARTYŚCI)

Pearl McCarthy

Ekscytująca wystawa Sadowskiej



Krystyna Sadowska, batik,
4×8 stóp, fot. arch.
rodziny Masłowskich.

W Ontario College of Art jest obecnie wystawa, która mogłaby wywołać poruszenie publiczności, gdyby była pokazana w murach którejkolwiek ze znakomitych galerii. Składają się na nią

duże nowe obicia ścienne wykonane techniką tkacką lub batiku przez Krystynę Sadowską. Niektóre z nich dzięki zaproszeniu będą wysłane na Amerykańską Wystawę Wzornictwa Rzemieślniczego (American Designer Craftsmen Exhibition) w Bloomington. O ile wiadomo, pani Sadowska nie planuje większej wystawy publicznej w ciągu najbliższych dwu lat.

Jeden rzut oka na wystawę (gdzie pani Sadowska wyklada) wyjaśnia dlaczego tego rodzaju indywidualny pokaz nie może być urządzony od ręki. Proszę wyobrazić sobie wspaniałe obicie tkane z wełny o wymiarach 7 na 12 stóp. Niezależnie od technicznej sprawności odurzająca jest nowoczesność i śmiałość projektów. Zarówno batiki, jak i tkaniny (kilimy) przewyższają wszystko, co dokonano dotąd w Kanadzie.

Krystyna Sadowska urodziła się w Polsce, lecz obecnie jest Kanadyjką i nie jest nowicjuszem w swoim zawodzie. Zdobyła medal w Paryżu już w 1937 roku. Każdy prawdziwy artysta ma szczególny moment, który decyduje o zdobyciu sławy i wydaje się, że pani Sadowska tę chwilę właśnie przeżywa.

Tłumaczenie Maciej Masłowski

Maciej Masłowski napisał artykuł o Krystynie i Konradzie Sadowskich na prośbę Krystyny Sadowskiej w 1960 roku. Maszynopis, poprawiany ręcznie przez autora, wykorzystany do tej publikacji, jak również wszystkie pozostałe źródła i fotografie pochodzą z archiwum rodziny Masłowskich. Za udostępnienie ich dziękujemy panu Andrzejowi Masłowskiemu, synowi autora.

Redakcja

Maciej Masłowski (1901-1976), polski historyk sztuki był synem artysty malarza Stanisława Masłowskiego i nauczycielki muzyki Anieli z Ponikowskich. Po ukończeniu gimnazjum im. Mickiewicza w Warszawie studiował na Uniwersytecie Warszawskim historię sztuki u prof. Zygmunta Batowskiego. W latach 1931-1939 pracował w Wydziale Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, równocześnie jako dyrektor Ruchomej Wystawy Sztuki i organizator Wakacyjnych Instytutów Sztuki (w Żabiem na Huculszczyźnie - 1938 i w Zakopanem - 1939). W latach 1945-1946 współpracował z

Państwowym Instytutem Historii Sztuki w Warszawie. W okresie 1947-1949 był profesorem Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Warszawie, a w latach 1948-1949 - dyrektorem Instytutu Upowszechniania Sztuk Plastycznych w Warszawie, przekształconego później w Centralne Biuro Wystaw Artystycznych, a następnie w Galerię Zachęta. W latach 1948-1949 był dyrektorem Muzeum Polskiego w Rapperswilu w Szwajcarii. W latach 1950-1951 był samodzielny pracownikiem nauki w Państwowym Instytucie Sztuki w Warszawie (przekształconym później w Instytut Sztuki PAN). W okresie stalinowskim - od 1951 roku - zrezygnował z pracy etatowej, do której już nie powrócił. Uprawiał pracę naukowo-badawczą i literacką w domu w Podkowie Leśnej (gdzie mieszkał stale od 1945 do śmierci w 1976 roku). Po 1956 roku opublikowano między innymi jego prace o Józefie Chełmońskim, Maksymilianie Gierymskim, Juliuszu Kossaku, Piotrze Michałowskim, Stanisławie Masłowskim, Zygmuncie Waliszewskim, Julianie Fałacie. Jego książki zdobyły sobie wysokie oceny. Szczególnie wysoko zostały ocenione obie książki poświęcone Józefowi Chełmońskiemu. Materiały do nich gromadził przez kilkadziesiąt lat - już w okresie międzywojennym korzystając ze znajomości polskiego środowiska artystycznego drugiej połowy XIX wieku. Wiedza ta była unikalna, ponieważ łączyła profesjonalne przygotowanie i warsztat historyka sztuki z przekazem międzypokoleniowym pochodzącym od jego ojca Stanisława, artysty-malarza, a zarazem kolegi Józefa Chełmońskiego.

(na podst. Wikipedii)

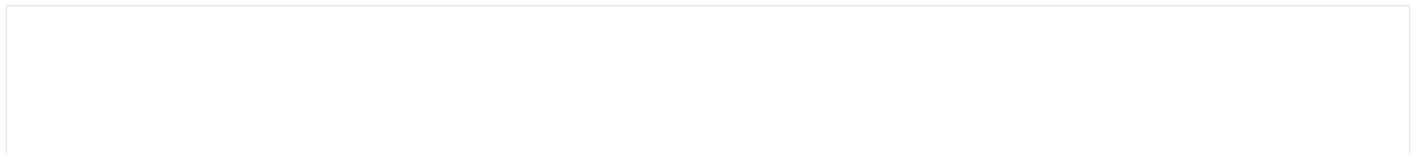
Inne artykuły o Krystynie Sadowskiej i jej drugim mężu, wybitnym projektancie mebli - Stefanie Siwińskim na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/artystka-wszechstronna--krystyna-sadowska-1912-2000/>

<http://www.cultureave.com/pani-krysia/>

<http://www.cultureave.com/stefan-siwinski-projektant--futurystyczny/>

<http://www.cultureave.com/projektowanie-mebli-zabawa--forma-i-kolorem/>



Galeria



Krystyna Sadowska - Syrena (z lewej), Konrad Sadowski - pozostała ceramika, fot. arch. rodziny Maślowskich.



Konrad Sadowski, ceramika, fot. Peter Croydon, arch. rodziny Masłowskich.



Konrad Sadowski - ceramika, Krystyna Sadowska - rysunki ceramiczne, fot. Peter Croydon, 321 Church. Street, Toronto, arch. rodziny Masłowskich.



Krystyna Sadowska, batik, 4-16 stóp, fot. arch. rodziny Masłowskich.



Krystyna Sadowska, batik, 4×8 stóp, fot. arch. rodziny Masłowskich.



Konrad Sadowski, ceramika, fot. Peter Croydon, arch. rodziny Masłowskich.

„Mam pewne plany pracy – pragnę nie tylko pewnego połączenia
 tkactwa z malarstwem – nie wiem czy mi się to uda.”
 „miej u siebie ceramikę – chciałabym po prostu uniwersyfikować”
 „mam pracę na wyst. w Brukseli”
 „miej i wypożycz – robisz ceramikę”
 „dostałam nagrodę za udział w Jantarze, na wystawie
 międzynarodowej – jest to 22 go nagroda w ciągu 9 lat”
 „ostatnio zrobiłam kilkanaście kubków na 4^{te} 8^{te} 12^{te}, oraz
 kielichy szklane 34 cm na 4 – na wystawę do Jantarów mają
 kilkanaście wystaw w Miami – Sobelina robiła od 8 rano do 12
 u nas”
 „tenże wyjazd miał wystawę do Buffalo, mój w sierpniu dwa
 razy w tygodniu”
 „głównie zamierzam, żeby mieć, aby edycje – w co-
 ści”

Odreęczna notatka Krystyny Sadowskiej, ok. 1960 roku, na
 temat jej planów artystycznych: „Mam pewne plany pracy
 przyszła mi myśl pewnego połączenia tkactwa i malarstwa – nie
 wiem czy mi się to uda...”, arch. rodziny Masłowskich.



Krystyna Sadowska, Ont.

Krystyna Sadowska, fot arch. rodziny Masłowskich.

Piewca Beskidu

Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Florian Śmieja



Paweł Łysek

Przeglądam kilkunastoletnią korespondencję ze zmarłym w Nowym Jorku pedagogiem i pisarzem Pawłem Łyskim. Wracają dawne lata, poznanie w Londynie, a potem gościna w jego amerykańskiej rezydencji *Beskid Ranch* na Long Island; wreszcie odwiedziny jego skromnego domu rodzinnego w Jaworzynce i grobu na cmentarzu w Istebnej.

Paweł urodzony w 1914 roku w Jaworzynce, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1935-39. Po wybuchu wojny zbiegł przed poszukującą go policją niemiecką na Węgry, przedostał się stamtąd na Wyspy Brytyjskie i wstąpił do Polskiego Wojska. Kiedy skończyła się wojna, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął studia bibliotekarskie. Jako bibliotekarz i wykładowca pracował na *City University* w Nowym Jorku od 1952 roku do swojej śmierci w 1978.

Pierwsze próby literackie przerwała wojna. Łysek nie odłożył jednak pióra zupełnie: pisał sumiennie pamiętnik, który miał później wydać w dwu tomach pod tytułem: „Z Istebnej w świat” (1960) oraz „Poszło na marne” (1965). To w tych książkach opowiedział koleje ucieczki na Zachód, swoją służbę wojskową, niezłomną wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, choć jednocześnie nie tuił rozgoryczenia do aliantów, którzy nie wywiązywali się z zaciągniętych wobec Polski zobowiązań. Absolutna szczerść relacji i ich prostota, to wielkie zalety jego wspomnień i obserwacji zwyczajnego żołnierza uwikłanego w

największy konflikt naszych czasów. Prawda tych tekstów jest oczywista, a bije z niej nieugięty idealizm młodego pokolenia Polaków wychowanych między wojnami.

W wydawanym przed laty piśmie młodych w Londynie omówiłem książki Łyska. Był mi za to wdzięczny i namawiał dyskretnie, bym napisał recenzje do publikacji bardziej znanych, jak „Wiadomości” Grydzewskiego czy „Kultura” Giedroycia. Przebywając w Stanach Zjednoczonych czuł się nazbyt oddalony od tych dwu znakomitych pism ukazujących się w Londynie i w Paryżu. Polubił też moje „poetyckie pióro”:

Bo to już ten poetycki styl zawsze lepiej okrasza nawet rzecz, która nie grzeszy specjalną wielkością. Oczywiście z pokorą przyjmę i wszelkie ujemności i niedoskonałości napisane szczerze, jak to winno być w każdej bezstronnej krytyce.

Mimo, że był człowiekiem nieśmiałym i nie miał doświadczenia z promocją książek i do tego własnych, rozumiał dylemat recenzentów.

...Pisanie omówień nie jest rzeczą specjalnie przyjemną, a zwłaszcza, gdy się osobiście zna autora; bo z jednej strony nie chce się urazić osoby, a z drugiej trzeba jednak kierować

się obiektywizmem. Zdaję sobie też sprawę, że „Z Istebnej w świat” było rzeczą ciekawszą i więcej emocjonalną; zaś „Poszło na marne” – gdzie akcja odbywa się na dalekich tyłach – nie mogła tak bardzo zainteresować czytelnika – pisał w liście.

Czytając gwarą przetykane narracje, zarzuciłem mu bodaj nieuporządkowanie języka. Mało zdawałem sobie wówczas sprawę z tego, że przecież autor musiał się zmagać z płynnym zjawiskiem, gwarą nieskodyfikowaną, bez ustalonej gramatyki, słowników i innych wzorców, daleko od ludzi tym dialektem się posługujących. Niemniej Łysek od tych początków zajął się językiem bardzo intensywnie i zrobił w kolejnych publikacjach ogromne postępy.

Zachęcony ukazaniem się drukiem wspomnień, zwrócił myśl z kolei ku rodzinnej ziemi, ku górom w których się wychował i jej mieszkańcom. Zaczął pisać sceny i obrazki z życia górskich wsi używając gwary coraz śmieiej. Tak powstał tom „Przy granicy” (1966). Pochwaliłem nową tematykę Łyska a on pospieszył z zapewnieniem

...Jest Pan w części odpowiedzialny za urodziny tego dziecka.

Wiem, że także Kazimierz Wierzyński radził mu trzymać się tematyki beskidzkiej, szczególnie, kiedy zapoznał się z „Przy granicy”. W tej książce oglądamy panoramę trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Ich odrębność w mowie, stroju i obyczajach znalazła w Łysku najpilniejszego kronikarza, który je z pietyzmem odnotował i niejedno ocalił od zapomnienia. Pokazał bogaty, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, prządkę, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, starte podania i przesady. Książka okraszona piosenkami kończy się mocnym akcentem martyrologii górali w czasie okupacji.

Łysek znalazł się wreszcie w swoim żywiole, podjął właściwy temat, który okazał się rogiem obfitości rozpierającym swoją formę. Może dlatego Łysek dostrzegł z kolei możliwości powieści osadzonej w tym bogactwie i tak powstało „Twarde Żywobycie Jury Odcesty”.

Małorolny góral wraca z wojska austriackiego i szykuje się do ożenku i założenia rodziny. Inteligentny choć bez wykształcenia, ciężko pracuje, by zapewnić byt swoim. Nie jest obrotny, ma zbyt wiele skrupułów, nie umie przedkładać zysku nad wszystko inne. Prowadząc karczmę nie potrafi zapomnieć o tym, że rozpijanie górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Kiedy wchodzi w spółkę, by handlować bydłem, pada ofiarą nieuczciwego współnika. Zostaje na koniec owczarzem, a

postradawszy zmysły dostaje się do zakładu, z którego ucieka, aby umrzeć we własnym domu i mieć gazdowski pogrzeb.

Ta opowieść o górach, w których znalazły się szczegóły z życia ojca autora, przypomina nam także historię pierwszych osadników Beskidów, wplata ludowe podania i gadki, raz po raz rozbrzmiewa pieśniczkami, wśród których są autentyczne teksty samouka Jana Probosza.

Powieść jest umiejętnie skomponowana, przysłowia stanowią tytuły rozdziałów. Gwara pokazuje nieznane oblicze śląskiej ziemi. Obrazowanie jest oszczędne, naturalne, najbliższe rzeczy. Przekonywująca robota pisarska sprawiła, że nie powstaje banał.

Powieść jest owocem twardej walki Łyska: ze sobą, z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem – z pewną obcością literackiej polszczyzny ustawicznie podważanej przez bliższą jego sercu gwarę nieokiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikami – żeby ich przekonać do niezwykłej tematyki, stylu i języka.

Znajdziemy w niej pamiętne strony, czujemy, że ostatnia zabawa w zamykającej się karczmie, ostatnia muzyka, jest lamentem i trenem na przemijanie i odmianę życia beskidzkich górali. Serdeczną tęsknotą autora, górala rzuconego w inny kamienny świat.



Paweł Łysek z góralami, fot. arch. F. Śmieji.

Moje pisanie w podobnym tonie spotkało się z żywą aprobatą Łyska. Zrozumiał, że udało mi się wyczuć „duszę” jego twórczości.

Bo zakątek to piękny, a lud dobry i poetyczny. Szkoda, że ząb czasu, system i inne wpływy niedobrej cywilizacji niszczą to wszystko, co wieki zbudowały. I to było jednym z celów mojej książki, by świat ten – jego zwyczaj i obyczaj ratować choć w książce.

W tym samym liście autor doniósł, że wysłał do Giedroycia, do Paryża nowy maszynopis powieści „Marynka, cera gajdosza”.

Książką tą chciałem zamknąć moją trylogię beskidzką i szukam na nią wydawcy. Oby się rzecz „uzdała” Giedroyciowi, choć wątpię, by to wydawał, bo pisząc do mnie, spodziewał się, że rzecz będzie miała szersze podłoże polityczno-społeczne, a w rzeczywistości tak nie jest.

Już kilka lat wcześniej w roku 1970 namawiając mnie do napisania recenzji „Twardego żywobytu...” Łysek objaśniał:

...Jest to druga książka mojego cyklu beskidzkiego (czy epopei beskidzkiej – jak to nazwali i Most w Polsce i Kowalewski w Londynie); pierwsza książka z tej serii była „Przy granicy”, druga, „Jura Odcesty”, a trzecia będzie „Roztomiała Marynka”. Akcja ostatniej rozgrywa się w

Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką.

Łysek nabrał zaufania do mojego odczytywania jego twórczości. powieściowej, wiedział, że może liczyć na sympatyzujące opinie dotyczące roli gwary, a wiedział, że opisywane ziemie nie były mi obce, a tym bardziej egzotyczne. Zwierzył się, że długo się zastanawiał, czy mnie nie poprosić o napisanie wstępu do „Marynki”, która się miała ostatecznie ukazać w Londynie w serii biblioteki Polskiej Fundacji Kulturalnej. Zwrócił się więc do W. Oszeldy z Cieszyna, otrzymał szkic, który mi przysłał z adnotacją:

Chcę byś miał to w całości, bo Sakowski to pewno skróci, jako że rzecz jest nieco za długa. Jest to ładnie napisane, ale może za wiele jest pochwał pod moim adresem. Ale Oszelda to bardzo romantyczny człowiek i wielce zakochany w Beskidzie.

Kiedy na jesieni 1973 roku wyszła „Marynka” Łysek przysyłając mi egzemplarz i cytował opinię wydawcy, Sakowskiego, wyrażoną Marii Danilewiczowej, że to jego najlepsza książka, lepsza od „Jury”. Nic więc dziwnego, że autor bardzo się uradował i prosił mnie o opinię uważając, że jestem, jak się wyraził, „specjalistą od moich śląskich powieści i opowieści”.

Nawet spytał wprost:

Czy nie uważasz, że może moja „Marynka” byłaby lepsza do przedruku w Kraju? Oczywiście, to wcale nie dowodzi, że tam cokolwiek wydadzą, bo nad Szewczykiem jest cenzura i sto innych urzędów.

Myśl tę powziął na wieść, że Oszelda rozmawiał z Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem szeregu śląskich czasopism społeczno-kulturalnych, pisarzem i publicystą oraz obrońcą śląskości przed próbami internacjonalistycznego równia i rugowania regionalnych cech i tradycji.



Koronczarki z Koniakowa, 1970 r., fot. E. Poloczek.

Opowieść o Ślązaczce z wiejskiej biedoty była zamierzona jako zamknięcie cyklu o tematyce beskidzkiej. Nie przypominam już sobie, co autorowi na jej temat powiedziałem, bo w tym czasie miałem kłopoty z otrzymaniem egzemplarza książki, a potem w ferworze wyjazdu z całą rodziną na rok do Europy (do Polski i Hiszpanii) straciłem orientację i rachubę czasu, tak że nie zdołałem spisać w terminie swoich odczuć i urwała się nasza korespondencja.

Tadeusz Nowakowski, nie znający stron Łyska poświęcił „Marynce” dłuższe omówienie. Zauważył, że niskie pochodzenie jego protagonistki dało autorowi uczulonemu na dolę ludu sposobność do ewokacji klimatu moralnego przedwojennego Śląska po obu stronach Olzy (fabuła toczy się za młodości narratora), zobrazowania psychologii i mentalności tubylczej, ukazania barwnej panoramy folkloru, obyczaju, świata wierzeń, ocalenia wielu pieśniczek, reliktyw obrzędowych, przysłów, powiedzonek i rarytasów językowych przed zapomnieniem.

Po napisaniu trylogii góralskiej Łysk przypomniał sobie jeszcze temat zbójnicki. Jego bohaterowie idą wprowadzić w ślady słowackiego Janosika i jego śląskiego odpowiednika Ondraszka, ale nie przestają być prawymi synami jego górskich dziedzin. Ich barwne życie biegnie równocześnie naturalnym trybem. Do lasu pędzi ich los, lecz dobra natura nie pozwala na wyuzdanie. Każdemu z tych beskidzkich młodych, kryjących się w lasach przed poborem do wojska austriackiego, przyświeca ideał, by jedynie uszczknąć trochę bogactwa zachłannego handlarza. Łup pozwala im przetrwać do czasu, kiedy ustaje łapanka i nadarza się okazja, by osiąść w jednej z przygranicznych wsi, ożenić się z wierną dziewczyną i na powrót stać się częścią gromady. Zbójnicy często nie tylko zabierają bogaczom, ale wspierają nędzarzy i zabezpieczają byt nieszczęśliwych.

Nie odzierając swoich postaci z romantycznej aury, Łysk

pokazuje, że zbójnikiem stawał się skrzywdzony sierota, dezterter z wojska, owczarz w wieku poborowym, który ukochał wolność w górskich ustroniach i z lubością słuchał opowieści i śpiewek o zbójnikach. Nie dziwi więc pogodne zakończenie książki.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji. Fotografia ukazała się na Culture Avenue jako ilustracja wywiadu Ewy Wielgosz z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina.

W trzech książkach stanowiących trylogię góralską, Łysek ustrzegł się powtórzeń, słownictwo stało się naturalne, stosowne i oczywiste, a zdolne olśnić. Wiele poezji znajdziemy w opisach góralskich sytuacji dzięki delikatności omówień, wdzięcznemu

oddaniu nawet scen drastycznych, ciągłej świeżości opisów. Nie było zresztą na śląskiej wsi wulgarności tak często szpecącej inne regiony Polski. Książka o zbójnikach gorzej mu się udała. Jakby była resztówką, materiałem zbyt skąpym, nie przetrawionym, zbyt pośpiesznie wtłoczonym w ramy książki. Zbyt ni w niej pośpiech i towarzyszące mu niedociągnięcia formalne.

Ostatnie siły poświęcił pracy nad przekładem książki „Przy granicy” na język angielski. Robił to wraz ze studentami. Wysiłek to był ogromny. Oszelda napisał wstęp. „Rzecz jest napisana szumnie i romantycznie, stąd tyle trudności w tłumaczeniu”. Chciał mojej pomocy, ale respektował moje zajęcia, a zależało mu bardzo na pośpiechu, bo opuszczały go siły.

Nie doczekał ukazania się angielskiej wersji „Przy granicy”. Zmarł na raka, z którym się zmagał przez trzy lata, w szpitalu w Huntington. Po śmierci ubrano go w czerwony góralski *bruclik*, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej.

W swojej korespondencji ze mną rozpisywał się o swoich książkach i sposobie ich promocji. Wydawcy nie mogli liczyć na zyski ze sprzedaży, więc zazwyczaj zobowiązywali autorów do udziału w kosztach wydania. Ten koszt mógł się zwrócić, choćby częściowo, w miarę jak się książka sprzedawała.

Krytycy emigracyjni uważali za swój ważny obowiązek promowanie nowych wydawnictw. Publikacje Łyska przyjmowali ciepło, taktownie, jako ciekawe, nieznane, czy zgoła egzotyczne narracje pisane osobliwym językiem. Dostrzegając dobre chęci autor szukał jednak zrozumienia i pokrewnego odczucia. Znajdował je w Polsce m.in. u W. Oszeldy. Polubił także moje omówienia, gdyż wyczuł w nich sympatię dla gwary i znajomość terenu, o którym pisał. Kiedy np. Tadeusz Nowakowski poświęcił „Marynce” obszerny artykuł, Łysek ocenił go jako tekst bardziej rozgadany i efekciarski niż właściwy. W liście do mnie komentował, że krytyk ów pisze z werwą i barwnie, ale gdyby całość ścisnąć, to niewiele by z artykułu zostało. Nie mogły też – rzecz jasna – podobać mu się aluzje do skansenu i małe zrozumienie dla gwary i lokalnych obyczajów.



Koniaków, fot. pinterest.

Z listów wyziera człowiek zajęty i doceniany na uczelni pedagog. Wiemy, że ucząc swoich studentów wpajał w nich nie tylko wiedzę o Polsce, ale i respekt, a nawet miłość do niej. Przejęty swoim pisarstwem przynoszącym mu pierwsze sukcesy zabiegał o dalsze powodzenie werbując recenzentów, gromadząc cierpliwie materiały, szlifując nieustannie język. Wiedział, czego szukał, niemniej przeto chciał się upewnić. Pragnął zjednać czytelników i krytyków swojemu odrębnemu światu i osobliwemu językowi. Intensywna aktywność jeszcze wzrosła w miarę jak choroba zamiast mijać, stawała się bardziej groźna.

W liście z 3 maja 1977 roku donosząc o pertraktacjach z „Oficyną Poetów i Malarzy” w Londynie w sprawie angielskiego wydania „Przy granicy” dodał:

Spieszę się z tym wszystkim, bo przy mojej chorobie człowiek nie wie, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Planował równocześnie wyjazd do Polski, a na jesieni chciał wystąpić w Toronto na wieczorze autorskim. Ciężkie operacje kazały mu jednak zaniechać ambitniejszych planów. Inny list, z 22.2.1978, był zwięzły i pisany ręką. Zaczynał się od słów:

Łódź mego żywota dobija obcych, ale już ostatecznych brzegów.

Zawiadamiał przezornie:

Nie wiem wiele jeszcze listów otrzymasz ode mnie. Nie licznawiele.

W P.S. jednak dodał charakterystycznie:

Liczę, że napiszesz też coś do prasy polonijnej lub kanadyjskiej, dobrze?

Do końca choroba zmagala się z potrzebą przekazania pamięci o rodzinnej ziemi jak najpełniej i najdoskonalej. Kiedy wreszcie zmogła go śmierć, dzieło było gotowe. Baca sprowadził swoje owieczki do bezpiecznej doliny.

Przebywanie w oku najostrzejszych przemian społecznych i kulturowych, w metropolii tętniącej nowościami czasu, Łysek paradoksalnie znalazł sprzyjającą przystań, która mu pozwoliła na spokojne kontemplowanie utraconej młodości spędzonej w górskiej oazie. Z trucizny nostalgii czerpał życiodajne soki umożliwiające mu powrót do raju na kartkach swoich książek. Zamiast zagubić się w zgiełku i bazarze wielkiego świata, stał się pilnym kustoszem i zachowawcą szczęśliwego wieku niewinności ludzi i przyrody rodzinnych stron, ukochanego Beskidu Śląskiego.